

**Wywiad z Wandą MINICKĄ-WOJTURSKĄ
przeprowadzony przez Annę Nowakowską i Bartosza Nowożyckiego
w Rzeszowie, dn. 6 stycznia 2008 roku**

Nazywam się Anna Nowakowska i jestem ankieterką fundacji KOS chciałabym zadać Pani kilka pytań.

Na początek Proszę się przedstawić z imienia i nazwiska, ze wszystkich trzech.

Nazywam się Wanda Milicka w czasach pierwszego stanu wojennego, potem nosiłam nazwisko Wojturska po mężu, a po rozwodzie Minicka-Wojturska do dzisiaj.

Urodziła się Pani w Rzeszowie tak?

Tak w Rzeszowie.

A kiedy?

W pięćdziesiątym roku, 13 maja.

Opowiadała Pani tyle o tacie, to coś może więcej o rodzicach w ogóle, kim byli rodzice, jakie było ich wykształcenie?

Tatusz dzięki Bogu jeszcze żyje, ma w tej chwili 93 lata, urodził się w Inowrocławiu. Po wojnie w 1945 roku wrócił z internowania w Szwajcarii i od razu skierował się do pracy do Rzeszowa. W Szwajcarii skończył studia na tzw. ETH, czyli to jest politechnika Zurychu. Tam poznał mamę, Szwajcarkę, którą tutaj przywiózł do Polski. Skończył kierunek spółdzielczość na Wydziale Rolniczym i w tej branży chciał pracować. Chciał znaleźć miejsce pracy tam, gdzie jeszcze mleczarstwa nie ma, czyli budować mleczarstwo od podstaw. Dlatego przyjechał tutaj do Rzeszowa. A mama za nim.

Acha, a mama była tzw. przy mężu.

Tak przy mężu. Od samego [początku], ponieważ mama już w Szwajcarii, pracowała u Sulzera – w słynnej szwajcarskiej firmie, jako sekretarka w którymś tam wydziale ale także uczyła ludzi angielskiego i niemieckiego. Między innymi trafiła do osób internowanych, uczyła ich niemieckiego. Z tatą poznała się w ten sposób, że pomagała mu w opracowywaniu po niemiecku pracy dyplomowej.

A po przyjeździe do Polski?

A po przyjeździe tutaj mama przez długi okres czasu była przy tacie, a później rozpoczęła naukę języków obcych – prywatnie. Mieliśmy tutaj znajomą, która była słynnym lektorem języków obcych: angielskiego i niemieckiego, i mamie zaczęła sprzedawać uczniów.

Czy ma Pani rodzeństwo?

Mam siostrę, która mieszka w Krakowie. Studia skończyła, po studiach w Krakowie została.

Rodzice nie należeli do żadnej partii PZPR czy żadnej takiej lewicowej?

Nie.

Czy od samego początku, jak tutaj zamieszkali w tym rejonie to byli jakoś zaangażowani w taką działalność powiedzmy opozycyjną?

Nie.

Rodzice nie byli zaangażowani, dopiero Pani się zaangażowała?

Tak i to wynikało właściwie troszkę z charakteru, ale też i z czasów. Mój tato był mocno gnębiony od przyjazdu do Rzeszowa. Troszkę też to wynika z sytuacji, że tato tu przyjechał zupełnie w obce strony. To zawsze trochę utrudnia prawda, jak się nie ma przyjaciół, znajomych, kolegów z klasy. Na dodatek typowo przeszkadzał mu jego życiorys. Będąc po studiach na zachodzie, nie walcząc, nie dostąpił łask do niczego. Był człowiekiem j wykształconym. Na dyrektorskie stanowisko to został powołany już w latach 70-tyca potem został szybciotko zwalony ze stołka. Także tato się właściwie nie afiszował z jakimiś poglądami. Pyzatym to wynika też z taty charakteru. Tato jest takim bardzo spokojnym człowiekiem, bardzo cichutkim człowiekiem. Bardziej typem mola książkowego, czytającego anizeli bojownika i akcyjnego człowieka. W ogóle w życiu codziennym. Mama jest, była taka przebojowa.

Dobrze, a czy należała Pani do jakiś organizacji młodzieżowych, kościelnych? Czy działała Pani społecznie?

W dzieciństwie należałam do harcerstwa i w 68 roku, byłam wtedy w klasie maturalnej, jak mnie z tego harcerstwa z hukiem wywalono. Nawet mnie pozbawiono funkcji szczerpowej i stopnia instruktora za niewłaściwe zachowanie na jakimś tam zebraniu w szkole, w liceum. Potem tylko do Solidarności.

Można powiedzieć, że pierwsza jakaś opozycyjna działalność to była na tym zebraniu młodzieżowym.

Ale to było jeszcze, jak ja to kojarzę nie całkiem świadomie politycznie. Oprócz tego, że czerwonego nigdy nie kochałam. Zawsze były jakieś problemy i zawsze winny był czerwony.

No tak czyli jakoś niechęć do czerwonego Pani znała?

Tak, taką pod skórką.

Czyli pierwsza działalność opozycyjna to jest ta w Solidarności? Na czym ona polegała? Od czego się wszystko zaczęło?

Ja byłam po studiach budowlanych. Pracowałam w Rzeszowskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego i tam razem z też kolegą, działaczem Solidarności – Janem Wyciślakiem - rozpoczęliśmy zakładanie związku Solidarności w 80-tym roku.

Jakie te były pierwsze doświadczenia, czy łatwo było ludzi zachęcić do działalności?

Raczej łatwo było zachęcić do działalności. Trudniej było to skomasować. Nasz zakład się charakteryzował tym, że to była firma budowlana budująca przemysłowe budownictwo. Były to hale fabryczne, kominy różne takie rzeczy w całym podkarpackim województwie. Także mieliśmy wiele placów budów, zespoły budów rozstrzelone strasznie i pogrupować to wszystko to było trochę technicznie kłopotliwe. Ochota była wielka zawsze. W tym 80 roku wszystkich. Szczególnie, że to jest naród robotniczy w sumie.

Jaka była Pani funkcja?

Ja zostałam na pierwszych wyborach w październiku wybrana do prezydium zarządu. Do prezydium komisji zakładowej i byłam skarbnikiem z tym, że nie miałam funkcji etatowej. Wówczas u nas funkcją etatową był tylko przewodniczący.

Czy były jakieś inne powody podjęcia tej działalności oprócz tej niechęci do czerwonego?

Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Każdy kto w ten sposób myślał, że może sobie coś naprawić w tym świecie i miał dość wszystkiego co się wtedy działo, to po prostu przystępował do Solidarności.

Czyli to było takie spełnienie obowiązku obywatelskiego.

Obowiązku i chęci, że wreszcie się można coś naprawić.

Czy jak Pani przystąpiła do Solidarności to zdawała Pani sobie sprawę, że to jest niebezpieczne?

W ogóle o tym nie myślałam. Wiedziałam od samego początku, że było to niechciane z punktu widzenia dyrekcji. Na dodatek nasza dyrekcja firmy mieściła się zaraz koło Komitetu Wojewódzkiego PZPR i jeszcze miała tak, że okolice tych budynków to są mieszkania pracowników PZPR. W związku z tym oczywiście nie lubiano nas od początku. Przykrości miewałam od początku od ludzi, którzy się bali i od ludzi, tych, którzy z urzędu mieli nakaz, że tak powiem mnie tępić. W pensjach i w premiach i w miejscu pracy, zawsze coś takiego było. Nigdy nie byłam wywyższana tylko raczej pomiatana i tak mi zostało do dzisiaj, łącznie z obecną pracą. (śmiej) Cały czas.

Czy jak przystąpiła Pani do Solidarności to znała już Pani jakieś osoby, które były represjonowane za swoją działalność opozycyjną?

Nie. Osobiście nie. Oprócz tego, co czytałam wszędzie to nie.

Czy najbliższe osoby, Pani rodzice, siostra, wiedzieli o tym, że jest Pani zaangażowana w działalność opozycyjną?

Oczywiście. Mama mi cały czas pomagała we wszystkim. Już więcej stanie wojennym nawet. A siostra cały czas siedziała w Krakowie, także tylko tyle, że kibicowała.

Nie bała się Pani, że mogły jakieś represje też ich dotknąć?

Nigdy o tym nie myślałam. Ani raz w życiu nie pomyślałam o represjach, ani w stosunku do siebie, ani w stosunku do innych. Ani wtedy, ani w stanie wojennym.

A czy ktoś z przyjaciół wiedział o tej działalności?

Tak. Przed powstaniem Solidarności miałam taką paczkę przyjaciół, każdy z innego kąta, każdy z innego zawodu. Spotykaliśmy się w Empiku, to był taki klub rzeszowski, w którym się właśnie ludzie chcący pogadać z innymi ludźmi spotykali. Siedzieliśmy przy stoliku u narzekaliśmy. Nie oni potem wszyscy wiedzieli o mojej działalności.

Czy pozyskała Pani właśnie z tego towarzystwa jakieś osoby do działalności w Solidarności?

Nie z tego towarzystwa akurat nie.

Ale w ogóle udało się Pani?

A tak to, to później już całe mnóstwo.

No właśnie i czy przed stanem wojennym żadnych represji Pani nie doświadczyła?

Tylko te w pracy.

Jak długo zajmowała się Pani działalnością opozycyjną?

Cały czas. Bo w tym środowisku, w którym w tej chwili pracuje, przebywam i się spotykam z niechęcią do PiS-u. Ja jestem zwolennikiem PiS-u, w związku z tym też jestem z tego powodu tępiona. Też mam trudności z tego powodu.

Jest Pani wierna swoim ideom?

Tak jestem z charakteru, z postawy taka chyba i z urodzenia. Jestem szybka, zdecydowana powiem nawet twarda. Jak mam siebie tak ocenić. I tak samo w działalności. Ma być twardo i zdecydowanie i do tego pasuje mi PiS, a nie Platforma Obywatelska. (śmiech)

To teraz przejdźmy do stanu wojennego. Gdzie Pani mieszkała w latach 81-83?

W 81 jeszcze mieszkałam z rodzicami w jednym pokoju z kuchnią, bo takie mieszkanie mieli rodzice i tam mnie zastał stan wojenny. A w 82 roku, ponieważ 81 pojechałam na wakacje do Szwajcarii i trochę popracowałam i za te pieniądze tudzież pieniądze od mojej mamy kupiłam sobie mieszkanie, ponieważ w kolejce do mieszkania w mojej firmie się nie mogłam dostać. Mając 32 lata fundnęłam sobie to obecne mieszkanie i w czerwcu 82 się tutaj przeprowadziłam.

W 1981 była Pani niezamężna tak, nie miała Pani dzieci?

Tak, wyszłam za mąż w 85 roku dopiero.

Jaki zawód wykonywała Pani w 81 roku i na jakim pracowała Pani stanowisku?

Od początku po studiach od 76 roku. W dziale przygotowanie produkcji w budynku dyrekcji tego przedsiębiorstwa budowlanego. W 81 roku od stanu wojennego jeszcze tam pracowałam. Potem w 83 roku przeniesiono mnie, ponieważ dyrekcja stwierdziła, że za dużo mam kontaktów. Ponieważ, jako opracowująca tematy z różnych budów z całego podkarpackiego do mnie musieli ludzie z innych miast przyjechać i ze mną się kontaktować. Ja musiałam im wozić projekty. Musiałam tam pojechać na wizytacje tych budów. Sposobów do widzenia się, wszystkich działaczy było dużo i dyrekcji się to nie podobało, więc mnie wysiadała na taką bazę. Na krańcach miasta Rzeszowa była jedna z baz rzeszowskiej przemysłówki, w której mnie posadzono, nawet nie w budynku biurowym. Mówię o szycanach. Takie drobiazgi, ale znaczące. Był taki barak biurowy, później był duży plac składowy, w którym był węgiel i jakieś materiały metalowe i obok była kotłownia i taka mała pakamera. W tej pakamerze siedziałam ja. Telefon był wiecznie oczywiście zepsuty, więc jak chciałam zadzwonić to musiałam iść przez cały plac do tego budynku biurowego. Tam mnie pilnowano, żeby się nikt ze mną nie spotykał, żeby nikt do mnie nie przyjeżdżał. Takie urwanie kontaktów i stamtąd zostałam aresztowana 5 marca 84 roku. Jak wróciłam do pracy po wyjściu z więzienia z powrotem mnie umieszczono w dyrekcji, w dziale fakturacji najpierw. Z tego działu potem poszłam na urlop macierzyński. Potem pracowałam w dziale kosztorysów później, w 88 roku zostałam oddelegowana do pracy, jak powstały komitety obywatelskie. Zostałam oddelegowana, jako jedyny pracownik komitetu obywatelskiego etatowy, z tej fundacji amerykańskiej, która w walce o wolność i demokrację wspierała te komitety. Pracowałam tam półtora roku. Po wyborach miałam wrócić do przemysłówki, ale mi wtedy oświadczone, że jak wrócę to nie będzie dla mnie pracy. Tym bardziej, że zaczęła się już prywatyzacja i zlikwidowano ten cały dział ekonomiczny, w którym ja byłam. Zdawałam sobie sprawę, że mnie wsadzą do kadr na 3 miesiące, a potem wywalą. Zaczęłam szukać wcześniej możliwości jakiejś i uprosiłam wtedy pierwszego wolnościowego wojewodę, który akuratnie wcześniej był przewodniczącym społecznego komitetu obywatelskiego. Byłam jego podwładną. On został wojewodą i poprosiłam,

żeby pomógł mi coś znaleźć. Wtedy się powstała ustawa o przeniesieniu paszportów milicji do urzędów i utworzono wydział paszportów. Ten wojewoda Kazimierz Ferens, miał szczytny plan, który zresztą zrealizował. Mianowicie zatrudnił nowych ludzi, żadnych milicjantów. Co się nie zdarzyło w Polsce w żadnym województwie. No i tam zostałam zatrudniona w Wydziale Spraw Obywatelskich, Oddział Paszportów. Tam pracuje do dzisiaj. Szykany w następowały również i tam w urzędzie. Prawda polega na tym, że zmiany władzy powodują zmianę wojewodów, dyrektorów, a szeregowi pracownicy się nie zmieniają. Szeregowy pracownik to ma zawsze do czynienia z szeregowymi pracownikami, a nie z wojewodami i dyrektorami. I cierpi, jak tam na nim kołki ciosają wszyscy. No jak tylko była zmiana władzy z jednej na drugą, to mnie zawsze gdzieś tam przenoszono w obrębie tego samego wydziału. Teraz od 6 lat pracuję też w tym wydziale w komórce ds. poboru do wojska i to jest rzecz, której nienawidzę wręcz, a przeniesiono mnie również w ramach czystek dyscyplinarnych z oddziału, który bardzo lubiłam – oddziału ds. cudzoziemców. No ale trudno mam zamiar doczekać do emerytury, którą mam już blisko.

Wróćmy do 81-szego roku, jaką funkcję w Solidarności pełniła Pani i podczas stanu wojennego?

W 80 roku zostałam wybrana członkiem prezydium i cały czas byłam członkiem prezydium i skarbnikiem. W międzyczasie również powstała sekcja branży budowlanej przy MKR i tam byłam delegatem z przemysłówki razem z Panem Wyciślakiem.

Czym było dla Pani wprowadzenie stanu wojennego? Co Pani poczuła, kiedy się Pani dowiedziała, że wprowadzono stan wojenny?

(wzdycha) Strasznie trudne pytanie. Naprawdę nie wiem co powiedzieć. Najpierw straszne przerażenia. Potem nagły wzrost adrenaliny. Coś trzeba robić i po sobocie i niedzieli, kiedy nie wiedziałam jeszcze, co i jak, przyszedł do mnie Pan Wyciślak. To była pierwsza rzecz. Wanda pisz na kartce i schowaj to gdzieś. Zaczęliśmy zbierać dane, kto został internowany. Przy czym już wtedy, miałam przekonanie, że ubecja internowała ludzi sprzed półtora roku i stan wojenny przygotowywała wcześniej. Ponieważ tej naszej przemysłowce przez półtora roku zostali zmienieni trzykrotnie przewodniczący. Pierwszy przewodniczący był od strajków, czyli od sierpnia do połowy września powiedzmy. W wyborach przepadł, bo to był człowiek, który się nie nadawał na przewodniczącego. Został wybrany drugi przewodniczący. Ten drugi, ponieważ nie podobała się nam jego działalność, to mniej więcej po roku został na zebraniu zmieniony i wybrany trzeci. A do internowania poszedł siedzieć ten pierwszy, z sierpnia i września 80-tego roku. Później zaczęliśmy się zastanawiać, co można zrobić, co gdzie, jak można spróbować. To były pierwsze próby, na ile można coś wywalczyć, na ile można coś zdziałać. Pierwszą taką próbą była pomoc przewodniczącemu tej sekcji budowlanej Panu Zdzisławowi Banatowi. Miał on żonę, która była w ciąży i ta ciąża była dość kłopotliwa. Myśmy z Panem Wyciślakiem wymyślili, że ja poszukam lekarza ginekologa, którego da się namówić na zaświadczenie o tym stanie ciąży i księdza z tej parafii i pójdziemy we trójkę na milicję prosić o jego zwolnienie z internowania. Ja znalazłam ginekologa, zaświadczenie wypisał. Poszliśmy z księdzem na policję. Skończyło się na tym, że nas na dyżurce przetrzymali z godzinę, potem wygnali i tyle było tego całego załatwiania. Przy czym, żeśmy się dowiedzieli później, że jemu w Załężu, to jest więzienie rzeszowskie i tam byli nasi panowie internowani, dano mu znać, że myśmy tam byli. Tak na nim się wyżywano, no i potem go zwolniono jednak. Także na wigilię wyszedł. To taka była pierwsza moja próba. Od tego momentu zaczęłam wiedzieć, że trzeba coś zrobić. Wszędzie, gdzie się coś się dało, to coś robiłam. Co mi tylko kazano.

Jak Pani rodzina zareagowała na stan wojenny?

Tato, jak zwykle ze stoickim spokojem. Denerwował się mocno, ale nic nie dawał tego poznać. Mama w tym momencie stwardniała strasznie. Cały czas mi pomagała, cały czas podtrzymywała na duchu. Co można było to gdzieś zaniósła, przyniosła. Mając lat prawie 70 zawsze coś robiła.

Czego się Pani obawiała kiedy się Pani dowiedziała, że stan wojenny został wprowadzony?

Niczego. Nigdy w życiu mi do głowy nie przychodziło, nawet jak dokoła mnie kogoś aresztowano, zatrzymano, pobito, spalowano, że to może się za mną stać, Ja o tym nie myślałam. Po prostu miałam pełne ręce do roboty i tyle. (śmiech)

Jakich represji Pani doświadczyła w czasie stanu wojennego, wojennego które uważa Pani za najgorsze?

Byłam parę razy przesłuchiwana. Pierwsze najgorsze przesłuchanie to było szokujące dla mnie, ponieważ 18 grudnia byłam pierwszy raz w życiu przesłuchiwana i dostałam po prostu wezwanie. Dla mnie to było zaskakujące, dlatego, że nie umiałam sobie wyobrazić, dlaczego ja. Działalności w przemyśle przez ten tydzień stanu wojennego wielkiej nie było, ale w sumie z tej przemyślowki zamknięto tego chłopaka niewłaściwego do internatu. Jasiu Wyciślak nie, a wszyscy dokoła wiedzieli, kto jest motorem. Jego nie zamknęli, jego nie wołali na przesłuchania. Z moich znajomych nikogo, dlaczego ja, mały szary człowieczek. W trakcie przesłuchania wyszło, trzymali mnie tam chyba z pięć czy sześć godzin. Po pierwsze byłam jedyną kobietą z całej tej grupy, a po drugie jedyna po studiach, wszyscy byli technikami budowlanymi, a po trzecie kontakty ze Szwajcarią. To ich gnębiło. W pewnym momencie się przestraszyłam, co oni tam jeszcze będą wyciągać. Po chwili się uspokoiłam, nie mieli głębokiej wiedzy. Ja miałam w Szwajcarii kontakt z różnymi osobami, m.in. z Panią z bardzo bogatej rodziny, która od lat działała na rzecz pomocy różnym krajom. Zaprosiła na wakacje dzieci działaczy z Solidarności z Polski. No i się okazało, że w tym towarzystwie był syn Wałęsy z ochroną zresztą i ja z nimi tam siedziałam, rozmawiałam. Potem na jakiejś wycieczce żeśmy byli. Miejscowa prasa typu „Nowiny Rzeszowskie” to opisała, sfotografowała. Później jeszcze wracali samolotem do Polski, akurat nie tym samym lotem z Wałęsom i jego opiekunem. Trochę żeśmy rozmawiali na lotnisku. Co ta władza wiedziała, kogo miała zanotowanego, jakim sposobem, to nie wiem? Wtedy się ubecja zaczęła mnie o to pytać. Trochę się przestraszyłam, ale szybko się okazało, że niewiele wiedzą. Później byłam parę razy zatrzymywana. Te najgorsze represje, które tutaj były, 3 maja, to mnie akurat na 48 godzin zamknęli.

W 82 roku?

Tak i potem w sierpniu też mnie zatrzymali. Tego gazowania i pałowania słynnego w Rzeszowie nie przeżyłam. Później dopiero w 84 roku, 5 marca mnie zamknęto.

Była Pani wtedy sama aresztowana?

W tym dniu były jeszcze trzy osoby zatrzymane, każdy z innej beczki. Do dzisiaj nie wiem do końca, z jakiego powodu zostałam wtedy zatrzymana. Zrobili mi rewizję. Przyszli o 6, a ja żeby się miała dostać do tej swojej samotni daleko na tym zarządzie budów to musiałam wyjeżdżać za 10 szósta autobusem, tu spod miejsca zamieszkania. Byli zdenerwowani, że mnie tu nie zastali. Zrobili mi tam rewizję, czym ja się strasznie cieszyłam, ponieważ to był taki strasznie ponury, zakurzony pokój koło kotłowni. Ja siedziałam, a oni grzebali w tym. Ja się serdecznie bawiłam, że musieli się utyłać po pas. Takie drobne złośliwości mnie zawsze cieszyły. Tu mnie przywieźli, znowu zrobili rewizje. Wtedy miałam od miesiąca paczkę książek do rozpropagowania i miał się zgłosić człowiek po resztę paczki akurat poniedziałek po południu. Mnie w poniedziałek

rano zamknęli. Na dodatek ja sama przegapiłam sytuację, że na schodach dzień wcześniej widziałam jakiegoś gościa na schodach. Później go w trakcie rewizji poznałam, że to ten sam. On się tak dziwnie tej klatce przyglądał i poszedł sobie. Ja powinnam była tą paczkę gdzieś wynieść. Rano ta paczkę znaleźli. Zrobili sensację spisali te rzeczy, co do sztuki. Po to, żeby upublicznić taką wiadomość, że u mnie to tyle rzeczy znaleziono, taka byłam nie ostrożna. Kupiłam za pieniądze ze Szwajcarii osobny wzmacniacz i tuner, który ma świetny zakres. Na tym zakresie było słycać Wolną Europę bez zagłuszania. Robiłam nagrania, później je powielalam. Kupowałam w peweksie za parędziesiąt centów kasety magnetofonowe i przegrywałam tutaj. To znaleźli. Oczywiście działalność przeciwko państwu, granicom, obronności – ten paragraf worek. No i tą działalnością była książka, którą w Solinie kupiłam „Erotyka a Religia”. Byłam ciekawa tego opracowania i oczywiście to była strasznie wywrotowa działalność. Już wtedy miałam narzeczonego, później męża, który był osobą bardzo dowcipną. Lubił różne kawały robić i np. na Mikołaja, sprezentował mi trzy gumki frotki, a na papierze czerpanym napisał laurkę od św. Mikołaja, że św. Mikołaj mi sprezentowuje urządzenie do internowania włosów. To też było na tym spisie napisane: kartka z napisem „urządzenie do internowania włosów”. Zatrzymano mnie na 48 godzin i potem do prokuratury. Pani się pyta, co przykreść sprawiało? Pierwsze parę godzin to faktycznie byłam zdenerwowana mocno, bo człowiek nie wiedział, co się będzie działo dalej. Starzy rodzice sami, siostra w Krakowie. Druga rzecz, zabrano mi notatnik z adresami, niby tam nic trefnego nie było, ale ja wiem kogo będą nękać. To mnie martwiło wtedy bardzo. Po tych 48 godzinach się uspokoiliam, że co ma być to będzie. Opowieść nie wynikająca z sytuacji, zostałam poinformowana paradni wcześniej tajnie, że w 84 roku ma być amnestia, że mam to rozpropagować po podziemiu. Ja zaczęłam to rozpropagowywać i poszłam siedzieć. W tym momencie w duchu sobie pomyślałam „Wanda wiesz już, że będzie amnestia to siedź cicho, przeżyjesz i trudno”. (Śmiech) Tym się uspokoiliam. Siedziałam przez półtora tygodnia w areszcie Komendy Miejskiej MO, to jest 30 kroków stąd, 30 kroków od domu moich rodziców, na trasie gdzie moja mama chodziła dwa razy w tygodniu uczyć angielskiego, gdzie chodziła z psem na spacer. Ja siedziałam w tym dołku i to słyszałam, tupot mamy, psa. Strasznie to było przykre. 5 marca mnie zamknięto, a do 8 marca te 48 godzin było, gdzie nie wolno się ze mną kontaktować. I tak, jak w jednych majtkach, bez pasty do zębów siedziałam. Brudna i spocona. 8 marca wzięto mnie na przesłuchanie na pierwszym piętrze Komendy Miejskiej do gabinetu komendanta, gdzie w sekretariacie było kilkanaście bukietów frezji pięknie pachnących, ponieważ komendant musiał wręczyć kwiatuszki paniom milicjantkom. Ja taka brudna i śmierdząca i musiałam tam przejść. Takie rzeczy sprawiały przykreści. Człowiek się lepił cały nie, a tutaj pachnące kwiatuszki. (Śmiech) Potem mnie przewieziono do Niska, ponieważ areszt dla kobiet jest w Nisku. Tam siedziałam do wielkiego piątku, samotna w celi w izolatce. Jak się dowiedziałam, był taki przepis, że nie wolno działaczy Solidarności sadzać z więźniami, ponieważ ja ich zdeprawuje. W tym roku byłam jedyną aresztowaną kobietą. Wcześniej siedziały nasze dziewczyny. Podobno jest, taki przepis, że nie wolno za długo kogoś trzymać samego. Więc w Wielki Piątek mnie przewieziono na Rakowiecką do Warszawy. Jako jedyna mam ten wielki zaszczyt (śmiech), że jako jedyna dziewczyna podkarpackiego siedziałam na Rakowieckiej. Przez cały stan wojenny w tylko ja jedna. W wielkim otoczeniu, Jacka Kuronia, Pana Romaszewskiego i paru innych wielkich nazwisk.

I tam do końca już na Rakowieckiej?

Tak do tygodnia przed amnestią. Później mnie przewieziono tutaj, żeby nie jeździć już za bardzo, bo się Panu przesłuchującemu nie chciało.

A czy ktoś z bliskich, z rodziny był jakoś represjonowany?

Tylko mąż. Rodzice nie.

Jakieś dodatkowe represje dotknęły Panią, po wyjściu?

Tak, ja siedziałam w końcu 5 i pół miesiąca, a po 3 miesiącach zgodnie z kodeksem rozwiązała się umowa o pracę. Potem miałam kłopot z szukaniem pracy, bo w różnych miejscach mi odmawiano. Przemysłówka też nie za bardzo chciała. Miałam szczęście, że tam parę osób porządnych działało, w różnych miejscach tej przemysłówki. Jak siedziałam w areszcie to Pan Wyciślak próbował mnie w jakiś sposób uwolnić i namówił radę pracowniczą, która wydała opinię o mnie pozytywną z prośbą o zwolnienie z aresztu. Potem właśnie ta rada pracownicza uprosiła dyrekcję o przyjęcie mnie ponownie do pracy.

A jak było w otoczeniu wśród sąsiadów, znajomych? Jak odebrali Pani pobyt w więzieniu?

Ja miałam sąsiadów bardzo fajnych, tamtejszych sąsiadów, tamtego okresu, bo teraz się już zmienili. Bardzo porządnych, przyjacielskich, pomocnych zawsze.

A znajomi, nikt się nie odwrócił od Pani?

Nie. Część takich ostrożnych, to po prostu się nie garnęła ku pomocy, ale żeby mnie ktoś zwyzywał, to nie.

Rozumiem, że na stanie zdrowotnym jakoś ten pobyt w więzieniu się na Pani nie odbił jakoś?

Nie. Jedyna rzecz, bo ja mam – 7 i -5 dioptrii oczy, w tym więzieniu mi spadło o 1. No i jak później mnie przyjmowano do pracy do paszportów to lekarka mnie bada, a ja wiedziałam kim ona jest. To jest żona jednego z najgorszych ubeków tutaj. No i ona mnie nie przyjmie do pracy, bo ja mam -7 okulary. Ja mówię „proszę Panią nigdy w życiu mi się dioptrię nie zmieniły. Przecież ja studiowałam budownictwo, robiłam rysunki prawda, pracowałam w przedsiębiorstwie budowlanym, cały czas robię rysunki. To przecież coś, by mi się podziało z tymi oczyma nie.” Nie i już. Ja mówię „Proszę Pani mi się tylko jeden jedyny raz w życiu dioptrie zmieniły, jak Pani mąż mnie do więzienia wsadził.” Dalej nie. Dopiero później ogólna lekarka dała mi zezwolenie na pracę. A to chyba było po prostu z braku witamin, bo po miesiącu zajadania zieleniny wróciłam do normy.

A czy rodzina była informowana? Kiedy się rodzina dowiedziała co się z Panią stało, gdzie Pani jest?

Wiem, że w prokuraturze po 48 godzinach już byli razem z częścią grupy działaczy zobaczyć co ze mną będzie. Jak mnie z tej firmy zabierali, to ja jeszcze chciałam w jakiś sposób dać znać, że mnie stamtąd zabierają. Powiedziałam tym ubekom, że muszę pójść do dyrektora się zwolnić, bo tak nie mogę sobie wychodzić z pracy nie. I poszłam myśląc o tym, że komuś powiem, sekretarce nie sekretarce. W tym momencie akurat moja mam do mnie zadzwoniła. Co potem było wykorzystywane. Przepymano parę osób w biurze, czy to ja dzwoniłam. Potem to wykorzystywali. A i jeszcze powiem dla ciekawostki co mi tak dużo rzeczy pozabierano w trakcie rewizji. Jeden z naszych kolegów z Solidarności był fotografem i zrobił fotomontaż, to żeśmy tutaj rozprzedawali. To zdjęcie Lenina trzymającego pierwszy numer Tygodnika Solidarność. Ten słynny Lenin z Prawdą.

A czy wiedziała Pani o sytuacji innych osób, bo mówiła Pani, że tego samego dani były też trzy inne osoby zatrzymane?

Nie wiedziałam co się z nimi stało potem. Mnie pierwszą tam w tej przemyślowce przesłuchiwano, więc nie wiem. Potem dopiero nam przyszło do głowy, jakaś taka kombinacja myślowa, że tamtych dwóch to zatrzymano z Solidarności Walczącej i to ich namierzano i zatrzymano. Po prostu wydzieranie ludzi, co będzie, jak się wyrwie jedno ogniwo. Przedtem był Marek Wójcik, też ten członek zespołu, a potem ja. Tak sobie wykombinowaliśmy później, że o to tu chodziło, bo w sumie śledztwa prawie żadnego nie było, prawie mnie nie przesłuchiwali. Nic mi tam znowu nie zarzucali za wiele.

A w czasie tego aresztowania miała Pani informacje o tym, co się dzieje ze znajomymi? Docierały do Pani informacje, czy spotkała Pani jakiś znajomych, gdzieś w tym internowaniu?

Nie, jak mogłam kogoś spotkać, nie dało się spotkać. W Nisku siedziałam całkiem sama, a informacji żadnych, no bo dostawałam listy raz na miesiąc, a na Rakowieckiej jeszcze gorzej. To tylko tyle co tam ktoś krzyknął coś przez okno, czy nie krzyknął. Kto tam wiedział, że tam jakaś Rzeszowianka siedzi. Nie miałam żadnych informacji co się jeszcze, gdzie dzieje.

Za coś Panią zatrzymali. Niech Pani opowie o tej działalności w Komitecie?

Więc grudzień, styczeń to były takie luźne akcje, pojedyncze prawda. Coś tam gdzieś przynieść, coś komuś zanieść. Dla przykładu w pracy rozprawdzali na święta żywego karpia, to też był wtedy rarytas. Żona tego Banata, tego przewodniczącego sekcji, biedna, chora, w ogóle świąt nie chciała robić. Więc kupiłam karpie w pracy i zaniosiłam jej na wigilię. W sumie to moja działalność, te pierwsze grudzień – styczeń, to była cały czas poprzez Pana Wyciślaka. Co powiedział, że trzeba zrobić, to robiłam. Jak jego zamknęli w lutym, to musiałam odkopywać kontakty. On wyszedł w kwietniu to już wtedy zawiązał się Zespół Pomocy Internowanym, Aresztowanym i Osobom Pozbawionym Pracy przy Klasztorze Ojców Bernardynów. To była pierwsza grupa pań: Pani dr Wyżykowska z WSPA, Pani Lisicka oraz Pani dr Czajka z Politechniki. One rozpoczęły już wcześniej w styczniu z tym, że koło maja Pan Wyciślak tam do nich dotarł i mnie tam zaprosił. Myśmy stwierdzili wtedy, że trzeba troszeczkę rozkręcić ten cały punkt pomocy. To był zespół takiej zwykłej pomocy finansowej i paczkowej prawda. W maju doszedł jeszcze Pan Fień, to był też pracownik Politechniki, później Marek Wójcik, który wtedy z internowania wyszedł. Mieliśmy wspaniałego opiekuna w postaci ojca proboszcza i przeora tego klasztoru – ojca Jana Kantego Bartnika. Wspaniały opiekun, doradca. Rozpoczynaliśmy powolutku takie różne rzeczy próbować, więcej niż tylko paczki i pomoc internowanym. Ja stwierdziłam, że ponieważ z przyczyn rodzinnych znam paru adwokatów w Rzeszowie, to mogę spróbować do nich dotrzeć i zapytać się, czy będą chcieli nam pomagać. Od tego się zaczęło, nie jestem prawnikiem z wykształcenia, ale zaczęłam się tą sferą zajmować. Chodziliśmy do adwokatów z zapytaniem o pomoc w sprawach sądowych. Potem jeszcze chodziłam na rozprawy, brałam sobie urlopy z pracy. Namawiałam ludzi do tego, żeby stworzyć widownię. Robiłam stenogramy z tego, jakieś opisy. Kopiowałam od nich dokumentację. Tym się zajmowałam, archiwizacją tego. Pisałam to w czterech egzemplarzach. Przekazywałam jeden komplet do Prymasowskiego Zespołu do Warszawy, drugi do Kurii do ks. biskupa Tokarczuka, trzeci zostawialiśmy tam w archiwum u Bernardynów, a czwarty sobie ja sama chowałam. To była tam główna moja działalność. Tam poznawałam coraz większy szereg osób, ponieważ tam w tym było tak, że myśmy mieli spotkania dwa razy w tygodniu, ale w trakcie tych naszych spotkań przychodzili różni ludzie. Niby po pomoc. To była taka świetna przykrywka na kontakty. Później były takie większe akcje np. ogłoszona w parafiach przez biskupa Tokarczuka od rolników zbiórka płodów rolnych. Ładowaliśmy w worki i rozwożiliśmy ludziom. Ojciec Bartnik skomasował pomoc. Z Francji przychodziły tutaj tiry z paczkami i to potem było rozwożone po parafiach w podkarpackim. Dlatego

mówię, że moja znajomość ludzi z podziemia, z Solidarności rozpoczęła się w stanie wojennym. Moja aktywność rozpoczęła się w stanie wojennym. Brakowało mi dnia i nocy do tego wszystkiego. Później robiliśmy inne akcje, w 82 roku na gwiazdkę opłatek dla internowanych i aresztowanych. Ponieważ grupka osób w Załężu siedziała, myśmy wymyślili, że to nieładnie tylko dla tych z Solidarności, więc dla wszystkich więźniów zrobiliśmy opłatek.

Mamy koniec 82 roku i co dalej?

Musiała bym opowiedzieć jeszcze o kilku różnych możliwości działania w zespole. To nie chodziło tylko o paczki ale o wyszukiwanie każdej formy pomocy, która danej rodzinie było potrzebna. Przewodniczący w Rzeszowskim Przedsiębiorstwie Budowlano – Montażowym poszedł do internowania i jego żona też pracowała w tej firmie. Miała dwójkę dzieci w przedszkolu bliskim swojego miejsca zamieszkania, a ona pracowała bardzo daleko. Był kłopot kto ma te dzieci odwieźć, żeby ona zdążyła do pracy. Oczywiście była punktowana o każde przyście na 7. Wtedy była rejonizacja w przedszkolach, więc moja pomoc polegała na tym, że chodziłam i prosiłam po urzędach, żeby jej pozwolono przenieść dziecko do innego przedszkola. Tego typu formy pomocy cały czas się przewijały. Później, jak Pan Wyciślak poszedł do internowania, to ja chodziłam do jego żony pobawić się z dzieckiem, bo żona była wtedy w nastroju bardzo pesymistycznym. Trzeba było z dzieckiem pogawędzić i powiedzieć jej co od świata podziemnego ona na widzeniach w więzieniu na przekazać nie i odebrać wiadomości. W pewnym momencie spróbowałam pójść na widzenie do niego i przedstawiłam prośbę o widzenie, że jestem jego kochanką. Komedia polegała na tym, że żona i kochanka na jedno widzenie przychodzą. (śmiech) Główna część działalności to była obsługa rozpraw, adwokaci, pomoc przy adwokatach. Chodziłam ze sprawami do adwokatów, do kancelarii na spotkania. Zaczęłam od znajomych mojej mamy, która ich uczyła angielskiego. No to mi odmawiali, później się okazało, że jeden jest sekretarzem PZPR-u w radzie adwokackiej. Taki dowcip, który sam z siebie wyszedł, to ksiądz Słowik aktywnie działający tutaj opowiadał później na różnych zjazdach Solidarności. Pojechaliśmy z paczkami do więzienia i ks. Słowik poszedł do naczelnika rozmawiać i książki przekazać, a ja poszłam z tą furgonetką i taksówkarzem przez całe więzienie do kuchni. Tam siedziało dwóch więźniów kryminalnych, a ja miałam swoje papierosy i podeszłam do nich poczęstować tymi papierosami. Co się oczywiście strasznie strażnikowi nie podobało. Przegonił mnie stamtąd i oczywiście od razu zakapował panu naczelnikowi. Jak już wychodziłam z tego więzienia to mnie zawołali do tego biura. Ksiądz Słowik jeszcze tam był. Weszłam i mnie naczelnik zaczął opieprzać, a ja nie wiedziałam co mam robić. Ks. Słowik stał i słuchał. Ten tak mnie opieprzał, a ja w końcu, jak on już skończył wyciągnęłam opłatek. „Teraz podzielimy się opłatkiem.” Facet zgłupiał, ksiądz się zaczął śmiać, podzieliliśmy się opłatkiem. Ks. Słowik to do dzisiaj wspomina. Chodziłam często na rozprawy, jako obserwator biorąc urlop z pracy. Dawało to wiele, podsądny wiedział, że ktoś go obserwuje, pomaga, że nie jest całkiem sam. Sędziowie zachowywali się zupełnie inaczej, po prostu się jakoś hamowali troszeczkę. Przez cały ten okres działalności w zespole zbieraliśmy dane o internowanych, aresztowanych, przewożeniu skąd do kąt, wszystkie listy, grypsy z więzienia itd. Tym się zajmował Pan Marek Wójcik i on zawsze robił te spisy, do Warszawy przekazywał. Pisał głównie różne stenogramy, różne informacje do warszawskich gazet. Później był okres represji i kolegiów, kolegia dawali za demonstracje 3 maja, czy 30 sierpnia. To w tym też uczestniczyłam, choć miałam kłopot z adwokatami, którzy nie bardzo chcieli na kolegia chodzić jako obrońcy. Bardzo się przed tym wzbraniali, to było jakieś poniżenie wartości adwokata. Był przykład chłopaka, który po 3-cio majowej demonstracji został złapany wokół kościoła farnego. Przy czy się okazało, że oni za mało się do tych oskarżeń

przygotowywali. Ciągłe był jeden dyżurny oskarżyciel z tych ubeków i stwierdził na kolegium, że on wykrzykiwał jakieś tam hasła. Dzięki temu adwokatowi, którego zaprosiłam chłopak został wybroniiony. Nie mógł wykrzykiwać, ponieważ tamten siedział w zamkniętej suce i przy wielkim tłumie ludzi nie mógł usłyszeć co ten wołał. W tej jednej rozprawie nie uczestniczyłam, gdy oskarżyli o wykrzykiwanie jakiś tam nielegalnych haseł człowieka, który był głuchoniemy. (śmiech) Mieliśmy taką akcję słynną Czerwony Bór, to jest w okolicach białostockizny. Jest to wojskowy dyscyplinarny ośrodek, jakieś tam karne wojsko. Zamknęli do tego Czerwonego Boru działaczy Solidarności. Z naszego rejonu bardzo dużo. To było właśnie w grudniu 82 roku, albo 83, tych których nie internowali to zamknęli do wojska. Siedzieli przez całą ciężką zimę, a muśmy tutaj wyjazd organizowali autokaru, rodzin przez całą to Polskę na widzenie do tych mężów. Oni chodzili tam na ćwiczenia wojskowe, które się rządziły przepisami np. było tak powiedziane, że ktoś kto jest w marynarce ani nie w wojsku to nigdy nie brany jest później na ćwiczenia. U nas jeden chłopak był na ćwiczeniach świeżo po marynarce. Był 50 letni człowiek bez nogi, i też musiał biegać tarzać się po śniegu i coś tam jeszcze robić bez tej nogi nie. Opiekowaliśmy się rodziną jednej z dwóch ofiar, które tu w Rzeszowie były. Był Pan Stanisław Kot, działacz Solidarności z PTHW, który został zabity na rogatkach miasta przez milicjantów. Wtedy zaczęliśmy robić z tego jakąś sprawę. Coś tam musiało drgnąć, bo rodzina uzyskała odszkodowanie które płaciło miasto i milicja. Czyli jakby pośrednie przyznania się było. Potem trwały procesy, rewizje procesów, w końcu wszystko upadło, aż wreszcie komisja Rokity rozpoczęła sprawę od nowa. Po tych sprawach wreszcie do tego, że znaleźli się winni, co było wtedy nie możliwe. A jeszcze jeden punkt zapomniałam. Po pierwsze tośmy jeszcze w stanie wojennym organizowali opłatki dla internowanych. Właśnie na terenie klasztoru bernardynów, co było zawsze ryzykowane, bo to się setka ludzi zbierała. Na jednym z tych opłatków mieliśmy zaszczyt, że ks. biskup Tokarczuk nas nawiedził, msze odprawił, był na opłatku. Myśmy się wtedy wystraszyli, że nas tam dookoła wszędzie obserwują. Ale nic się nie stało. Później po stanie wojennym to zarząd regionu pociągnął tą tradycję z tym, że wymyślili sobie w pewnym momencie zrobienie opłatka dla internowanych w Załężu. Później już mi się nie podobały te opłatki tam w więzieniu bo to już nie miało sensu, ten pierwszy raz miał sens. Zespół formalnie istniał do 87 roku. Robiliśmy jeszcze tzw. katolickie tygodnie historyczne. Cały tydzień spotkań poświęcony konkretnym tematom np. legionistom, AK. Ja uczestniczyłam w organizacji technicznej. Miała wtedy jeden z porządnych magnetofonów polskich – Unitry i robiłam nagrania, zresztą do dziś je mam.

Te tygodnie były na ternie klasztoru?

Nie myśmy wypożyczyli sale w kościele farnym.

To jak z perspektywy czasu ocenia Pani stan wojenny? Czym był dla Pani stan wojenny?

Straszna tragedią moim zdaniem, dla całej Polski dla całego narodu ogromną tragedią. Coś co się pięknie zaczynało zostało nagle ucięte. Wszystkie marzenia ludzkie, energia ludzka, to co odważyli się ludzie robić, co chcieli, wszystko zostało ucięte z różnych powodów. Wszystko usiadło i działanie tych, którzy jeszcze chcieli działać było bardzo utrudnione z tego powodu. Dla mnie osobiście musze przyznać, że to był okres mojego rozkwitu, jak bym to nazwała, ponieważ ja wreszcie się poczułam w najważniejszym miejscu. Mogłam wreszcie dużo robić czegoś dobrego dla ludzi, konkretnie różnych rzeczy. Wtedy dopiero zaczęłam działać tak naprawdę. Jeszcze w okresie Solidarności jawnej w przemysłowce nie czułam za bardzo tego tematu płac podwyżek, jakiś tam planów. Tego tematu budowlanego, związkowego. Jak trzeba było wytypować kogoś do innych akcji takich społeczno-politycznych, do wejścia do jakiegoś kręgu, to zawsze ja

tam szłam. bo mnie to zawsze pociągało. I tutaj właśnie się znalazłam w tym co chciałam, takim działaniu na rzecz ludzi z różnych zakresów. U nas nie było takiego podziału, że ten robi to i tamto, a czegoś innego nie. To moje wieczne przepisywanie papierów od ludzi, tony ludzkich akt do przepisywania. Te kontakty z ludźmi, wtedy poznałam bardzo dużo ludzi, z którymi się do dzisiaj przyjaźnię i gdyby nie stan wojenny to bym ich nie poznała. Nie poznałabym działaczy z WSK, nic nie miałam wspólnego z największym Rzeszowskim zakładem, największą Solidarnością, największą grupą. Nie poznała bym męża swojego, który akurat był podopiecznym bo został zatrzymany przy rozklejaniu ulotek 3 maja 82 roku.

A co się Pani w PRL najgorsze wydaje?

Wszystko. Zakłamanie, totalne zakłamanie, karierowiczostwo dennych ludzi. Ubijanie skrzydeł osobom myślącym, patriotom. Nie szanowanie godności ludzkiej, narodowości polskiej. To jest najgorsze z PRL-u.

A zmiany po 89 roku, czy na lepsze ?

Na pewno na lepsze, czy się z nimi nie zgadzam czy nie, to na lepsze. Ja osobiście nie mam dużo lepiej, bo zarabiam kiepsko. Mieszkam i żyję w terenie, w którym są płace trzy razy niższe niż gdzie indziej za takie samo stanowisko. Mam koleżanki z Warszawy, z Krakowa i z Poznania, to one mają grubo wyższe pensje. Ja osobiście luksusów nie mam. Nigdy w życiu z przyczyn bycia działaczem Solidarności nie skorzystałam na jakichś etatach. Nawet, gdy chciano to nie pasowałam. To jest najważniejsze, wolność tego co wszyscy robią. Wolność działania tak jak się komuś chce, byle by komuś nie naruszyć godności. To jest to o cośmy właśnie walczyli, że z tym jest trudno, że się ludzie wypaczyli i mnie to boli, że jest nie załatwiona sprawa telewizji, mediów, że to jest po prostu w rękach czerwonego albo różowego. To szkodzi, ale jednak jest wolność.

A jaki stosunek do Pani działalności ma Pani syn? Czy rozmawiacie o tym, czy mu Pani opowiada?

Pewnie.

Zainteresowany jest tym?

Nie. To jest dziwny chłopak, fajny chłopak ale dziwny. Jak był małym chłopakiem to się tym interesował, ja go prowadziłam wszędzie na różne uroczystości. Później się jednak nie rozwinął w tym względzie. To bardzo inteligentny i odcytany chłopak ale wiecznie próbuje, poszukujący i próbujący. Buddyzm znalazł, w pisanie wierszy poszedł, piękne wiersze pisze. Tworzy muzykę ciekawą i fajną. On jest taki słomiany zapał, niczego nie kończy, on żyje w tym własnym świecie. Mówię to jest różnica czasów, młodzi ludzie w wieku Pana to zaistnieli w swoim dzieciństwie, kiedy nie było jeszcze wszystkiego dokoła pełno i trzeba było się zadowolić tym co się miało w okolicy. Mój syn wyrósł trochę później i wszędzie było wszystkiego pełno. Mnie w prawdzie nie było na to stać i on nie był do tego przyzwyczajony, ale czytanie książek to u nas jest normalne, więc on czytał książki prawda. Jest mu miło, jak go ktoś pochwali, np. jak jego kolega oglądał mnie przez przypadek w rzeszowskiej telewizji z racji rocznicy zespołu charytatywnego i pochwalił się do syna. To mu było bardzo miło. Ale się na tym kończy.

Czy dostała Pani za działalność jakieś odznaczenie, nagrody?

Nie.

A reszta Pani rodziny czuje się dumna z tej działalności?

Tak, najbardziej dumna to była moja mama, ale już nie żyje od pięciu lat.

Wróćmy jeszcze do pobytu w więzieniu, do najgorszych chwil.

To więzienie było dla mnie sprawdzeniem tego czego się dowiedziałam wcześniej. Ja byłam mocno uzbrojona w różne fakty. Myśmy zrobili na początku tego działania zespołu taką wielką akcją namawiania wszystkich znajomych, żeby każdy pisał karteczki z pozdrowieniami do więźniów. Obojętnie czy to byli z naszego rejonu, kto jakie nazwisko znał i jaki areszt to pisał. Ja mam w tej chwili z 60 czy 70 widokówek, które mi posłano. Te kartki to dostawałam na rakowieckiej i te klawiszki to diabli brali, że muszą tony kartek mi przynosić. Jeszcze miałam wtedy karę za śpiewanie w celi, przez miesiąc zakaz przyjmowania poczty. To po miesiącu to tych kartek miałam chyba ze 40. Ja na początku stanu wojennego napisałam list do Pani Danuty Wałęsowej, ponieważ wzruszyło mnie to, że tak wszyscy uwielbiają Wałęsę, a nikt nie mówi o jego żonie, która się boryka z kłopotami internowanego męża i z dziećmi. Napisałam do niej kartkę z życzeniami, pozdrowieniami. Potem dostałam odpowiedź w postaci kartki od Pana Wałęsy z podziękowaniem. O tym dowiedziałam siedząc w areszcie od mojej siostry, która dostała widzenie. Próbowanie w tym więzieniu coś zrobić, napisałam prośbę o widzenie z księdzem, czego przez całe pięć miesięcy nie uzyskałam ani razu, ale podania pisałam cały czas. Sposób tego siedzenia w więzieniu byłby inny, gdybym ja nie wiedziała jak to wygląda. Takie smutne, trudne momenty. W Wielki Piątek mnie wtedy przewieziono na Rakowiecką. Nie bardzo wiedziałam dlaczego, zresztą do dzisiaj nie wiem dlaczego. Podejrzewam, że to chodziło o to, że nie mogą mnie już tak długo trzymać w tej izolatce w Nisku. Przewieźli mnie tam gdzie jest więcej kobiet. Wieźli mnie samochodem osobowym, był kierowca i dwóch ubeków. Ponieważ to był Wielki Piątek to jeden z nich zamyślił sobie zabrać żonę i dzieci na święta do rodziny na jakiejś wsi. Jechaliśmy tym samochodem, tłoczno i te dzieci zaczęły wymiotować. Samochód śmierdzący paskudnie, brudny. Dojechaliśmy na tą wieś, mnie zamknęli w tym samochodzie, a sami poszli do tej rodziny. Siedziałam tak z pół godziny, kierowca ze mną został. Wreszcie mi pozwolił stanąć koło samochodu i nagle się patrzę ten jeden z milicjantów wychodzi z tego domu i niesie na widelcach takie dwa olbrzymie kotlety i wsuwa. Tak serdecznie pachnące, a człowiek przecież nie widział tego w więzieniu. Sos z mąki na brudnych ziemniakach i tyle. Potem dostali jeszcze skrzynkę jabłek i każe mi wsiadać. Ja się wtedy zbuntowałam i mówię „nie wymyjcie to auto, bo ja tak nie jadę”. Najpierw się coś tam burzyli, ale w końcu przyszła ta kobieta stamtąd z wiaderkiem i przetarła trochę to auto. Wtedy mogliśmy pojechać dalej do Warszawy. Potem, jak wieźli mnie w połowie lipca z Rakowieckiej z powrotem do Niska nocnym pociągiem do Rzeszowa, po to żeby prokurator mógł przyjechać i zamknąć to śledztwo. To był okres wakacyjny, mnóstwo ludzi w pociągu. Dwóch młodych milicjantów z pałami. Posadzili mnie samą jedną w przedziale, a tłum ludzi stał na tym korytarzu. Mnóstwo kobiet się denerwowało, bo z dziećmi, a ja tu sama w przedziale nie. To im pokazał przez szybkę V i się uspokoiłi. Potem zażyczyłam sobie pójścia do ubikacji i jeden z nich mnie zaczął prowadzić. Ja do tych ludzi mówię po drodze „dajcie mi spokój, bo ja tu nic nie winna, wiozą mnie z Solidarności do więzienia w Nisku”. To dostałam wtedy porządnie po plecach pałą od tego milicjanta.

Dziękujemy.